

W POSZUKIWANIU TEMATU

Mamy w naszym dorobku dramatopisarskim dwie czy trzy sztuki o problematyce mazurskiej (jedna wydana drukiem: St. Kowalewski *Kiedy mija noc*, Czytelnik 1957).

Ubogi to bilans wobec ogólnej ilości utworów teatralnych napisanych po wojnie. Trudność polegała i polega chyba na tym, że sprawy autochtonów, problemy związane z powrotem Ziemi Północnych i Zachodnich do macierzy są w jakiejś mierze tematem egzotycznym dla profesjonalnych dramatopisarzy. Napisanie autentycznej sztuki wymagałoby długiego okresu studiów. Studiów nie tyle książkowych co z natury, z życia tych ludzi, ich losów, obyczajów, przeszłości historycznej i kulturalnej. Nawet tak szeroko zakrojone zadanie byłoby przedsięwzięciem ryzykownym, o trudnym do przewidzenia wyniku.

Są oczywiście pisarze zawodowi, amatorzy, pisarze ludowi, wywodzący się z tych regionów, którzy poświęcili swą twórczość przeszłości i teraźniejszości Ziemi Odzyskanych. Ale z dramatem rzec ma się nieco inaczej. Nie było warunków, aby mógł on się tu rozwinąć w takim stopniu, jak inne gatunki literackie. Działające na tych terenach teatry odczuwają więc brak skromnego choćby zaplecza w dramaturgii o wyraźnie zdefiniowanym kręgu tematyczno-ideowym.

Godną uwagi inicjatywę wykazał Teatr im. Jaracza w Olsztynie, w którego repertuarze (Scena „Margines”) znalazła się taka pozycja jak *Moja droga do Polski*. Monodram Bohdana Kurowskiego, oparty na pamiętnikach Hejdy Machoch, mazurskiej dziewczyny, przedstawicielki najmłodszego pokolenia, jest niewątpliwie wydarzeniem ideowo-artystycznym. Oczywiście musimy pamiętać, że skromne rozmiary

roboty teatralnej nie czynią tego przedstawienia ewenementem, któremu można by nadać większy rozgłos. Ale trafia ono w najbardziej czułe punkty współczesnej rzeczywistości Mazur. Dotyczy żywego i jakże bolesnego procesu kształtowania polskości tej ziemi, jej ludzi, konfliktów i rozterek, całego bagażu urazów, lęków, niepewności.

Przedstawienie jest liryczne, a jednocześnie bardzo drażliwe. Ta „droga do Polski” najpierw małego dziecka, potem dorastającej dziewczyny, córki żołnierza wcielonego do niemieckiego Wehrmachtu, który zginął pod Stalingradem, miała dość cierni, aby wątpić o możliwości szczerego opowiedzenia się po naszej stronie. Bo w przedstawieniu ukazany jest też inny świat. Świat wrogiej propagandy, walczącej wszelkimi sposobami o zachowanie niemieckości Mazur, zachęcający do porzucenia tej ziemi, oferujący inne, lepsze życie, przypominający o ranach i upokorzeniach, jakie spotykały Mazurów. Autentyzm i szczerłość opowieści Hejdy, wiejskiej nauczycielki — to główne atuty spektaklu.

Na scenie jest jedna aktorka i kilka rekwizytów: tablica szkolna, ławka, fotel. Ożywają cienie przeszłości, wspomnienia. Rozlegają się głosy: za Polską i przeciw Polsce. Irena Siołewska, występująca w roli Hejdy, prowadzi swój monolog wewnętrzny z wielkim poczuciem dramatyczności. Jej gesty, mimika, tonacja głosu przybierają coraz to inne barwy. Gra światła podkreśla nastroje: od lirycznej refleksji do pełnego tragiczmu.

Przedstawienie przygotowane tak ograniczonymi środkami (reżyser: Krystyna Tyszarska, scenograf: Danuta Pogorzelska) przykuwa jednak uwagę widzów. Budzi szeroki

rezonans wśród tych, którzy w losach Hejdy odnajdują własne przeżycia. Dlatego jest ono z jednej strony bardzo celną pozycją repertuarową, z drugiej zaś dobrze świadczy o robocie literackiej i teatralnej jego twórców.

* * *

Poszukiwania repertuarowe teatrów terenowych, prowadzących objazd małych miasteczek i osiedli, to niewątpliwie bardzo skomplikowany zabieg, wymagający dużego wyczucia potrzeb odbiorców. Zwłaszcza gdy chodzi o współczesne sztuki polskie. Czym karmić widzów? Różewiczem, Mrożkiem, Herbertem, czy też mniej „hermetycznym” Broszkiewiczem? Zadania teatru popularnego, jakim jest Teatr w Grudziądzu, i z nazwy i z praktyki są dość typowe dla tego rodzaju scen. Dlatego z zainteresowaniem obejrzałem spektakl sztuki Lesława Bartelskiego *Pierwsza miłość*, wystawionej niegdyś (również przez Aleksandra Gąssowskiego) w Poznaniu. Temat tylko na pierwszy rzut oka niemodny. Egzystencja małych miasteczek, moralność i obyczaje ich mieszkańców, niewiele się zmieniły od czasu powstania utworu. Nie wszędzie wkracza petrochemia, nie wszędzie dokonują się gwałtowne przeobrażenia jak w Turoszowie. Trudno odmówić Bartelskiemu zmysłu obserwacji, a Gąssowskiemu wyczucia koniunktury. Przy drobnej kosmetyce tekstu utwór przylega do terenu, bawi, śmieszy, wzrusza.

Przedstawienie grane jest w dobrym tempie, z lekkim zabarwieniem komediowym. Ten ton „pół żartem, pół serio” wychodzi spektaklowi na dobre. Publiczność śmieje się i bije brawo.

Jerzy Matulewicz